

SuperTrzydziestkapiątka walczy o Kalinę

Renata Radłowska

gazeta
Kraków



Kalina z terapeutką

☒ Fot. Michał Łepecki / Agencja Gazeta

A jak ktoś przyjdzie do Kaliny w Wigilię, to przyniosą dla niego talerz, żeby miał na czym jeść, kiedy już siądzie przy stole. I jak przyjdzie pięcioro następnych, to też przyniosą - i talerz, i sztucce, i szklanke.



☒

Fot. Michał Łepecki / Agencja Gazeta

Kalina z terapeutką

Trzydzieści pięć herbat w tygodniu albo kaw. Czasem więcej, bo może być herbata (lub kawa) na początku i na końcu. 35 ciasteczek, może mniej, bo nie każdy je słodczy. Jedno mydło na tydzień - jeżeli to kostka, a jeżeli nie, to na pewno jeden pojemnik mydła w płynie, takiego z pompką. Papier toaletowy - ile tego? W tygodniu to ze trzy rolki. Ręczniki do wytarcia rąk - takich frotte już się nie używa, bo każdy człowiek inne bakterie na rękach nosi (raczej te dobre, ale jak dobre spotkają się z tymi niedobrymi, może wyjść jakiś konflikt i uczulenie gotowe). Więc ręcznik papierowy - schodzi tego sporo. Rolka za rolką i mijają tygodnie.

Schody do pokoju Kaliny się ścierają. Kiedy ludzie wędrują nimi w górę i w dół, jeden po drugim, to zużywają się przecież.

O diagnozowaniu

Dziecko jak dziecko - milusie, ładniusie, pulchne, soczyste. Taka urodziła się Kalina. I taką Agata Dominik zabrała do domu. Pieściła, chuchała, w oczka całowała, po pleckach głaskała. I nagle coś nie tak. Kalina ma cztery miesiące i nic - ani "gugu", ani "gaga", ani rączką do mamy, ani rączką do swojej buzi. Więc coś nie tak. Kalina ma osiem miesięcy i jeszcze bardziej nic - żadnego uśmiechu, tylko płacz. Rodzina mówi: "Mała ma kolki, dlatego tak wrzeszczy i pręży się". Albo mówi: "E tam, od razu chora, ona jest inna; dzieci różne się rodzą, w temperamentach do siebie niepodobne".

Ma rok z kawałkiem, kiedy rodzice wiozą ją do Prokocimia. Niewiele wychodzi z tych badań. Ma półtora roku i dostaje pierwszego ataku padaczki. Rodzice znowu jadą z nią na badania. Lekarze wykluczają choroby metaboliczne, genetyczne, neurologiczne. Kalina wędruje od tomografu do rezonansu magnetycznego. I nic.

Agata i Zdzisław Dominikowie objeżdżają wszystkie ośrodki - te, w których stawiają diagnozy, te, które są tak świetne, że w całym gąszczu ludzkiego ciała potrafią odnaleźć tę jedną śrubkę, która się obluźowała. I nic. W końcu Dominikowie trafiają do Maltańskiego Centrum Pomocy Niepełnosprawnym Dzieciom i ich Rodzinom w Krakowie.

Przychodzi komisja - pediatra, psychiatra, psycholog, neurolog. Przygląda się Kalinie, wypełnia ankiety. Potem komisja idzie do pokoju obok, tam liczy, sumuje, tabelki przegląda. Kiedy wraca, Agata już wie, że nie jest dobrze.

- No, nie jest dobrze - mówi komisja. - Autyzm.

Dominikowie wzdychają. Ale nie dlatego, że wiadomość ich przygniotła. Westchnienie bierze się stąd, że wiedzą już, co jest ich dziecku. Już szukać nie muszą. Nie muszą jeździć od ośrodka do ośrodka i patrzeć, jak lekarze rozkładają Kalinę na części. Autyzm to autyzm. Choroba jak choroba. Ciężka, francowata, cholerna. Ale wreszcie zdiagnozowana.

Kalina rozpoczyna terapię (nie jedną, kilka różnych, które się uzupełniają) - zajęcia z logopedą, psychologiem, rehabilitacja ruchowa, hipoterapia... Dominikowie szukają innych metod, pytają rodziców, którzy mają autystyczne dzieci, szczytują Internet, spotykają się ze specjalistami. Ktoś podrzuci: świetna sprawa, bo autyzm można leczyć, podłączając dziecko do komputera, wtedy bombarduje się je dźwiękami i obrazami. Ktoś inny proponuje Agacie cudowne ziółka na autyzm, podobno "tak rewelacyjne, że Jezus Maria".

Potem Kalina idzie do przedszkola u maltańczyków. Jest głęboko autystyczna - prywatna skala Agaty to 4 (gdzie 1 jest leciutkim autyzmem, a 5 autyzmem wagi ciężkiej). W przedszkolu pięcioro dzieciaków, też autystycznych i trzy przedszkolanki, same specjalistki od autyzmu. Są postępy - a to Kalina odpowie na uśmiech, a to zrobi coś jeszcze, czego nie robiła przedtem. Ale szkodzi jej nadmiar bodźców: jedno dziecko piszczy, drugie ciągle powtarza "lalalalala", trzecie wydaje z siebie dźwięki jak przy jodłowaniu. Kalina zamiast się otwierać, zamyka się jeszcze bardziej. Dominikowie mają problem: niby Kalina robi postępy, a jednak oddała się; przedszkole wspaniałe, ale dla Kaliny za głośne (może na późniejszym etapie, kiedy będzie już z nią lepiej).

Wtedy pojawia się metoda 3i.

Nowość prosto z Francji.

Ze świetnymi wynikami.

Z nadzieją.

Wymyśliły ją dwie francuskie babcie, których wnuk był głęboko autystyczny. Babcie wymyśliły, a specjaliści dopracowali.

Agata myśli sobie: Czemu nie spróbować? Że Kalina będzie pierwszym dzieckiem w Polsce tak leczonym, no i co? Trzeba się chwycić wszystkiego; dzieci we Francji inne niż te w Krakowie?

Metoda 3i dotarła więc do Tyńca.

O autyzmie

Nie ma co się rozpisywać.

Autyzm jest bardzo medialny.

Jest bardzo filmowy, książkowy.

W kinie wygląda świetnie, w książkach też nieźle.

Autystycy to ci, którzy rozwiązują matematyczne zagadki; prawie że tajemnice wszechświata ujawniają.

Tak myślą ludzie, bo tak czasem pokazuje się autyzm. I jeszcze jako nieustanne kołysanie się w przód i w tył. Niekiedy jako agresję, krzyki, tępe patrzenie w ścianę, wielogodzinne układanie skomplikowanych budowli z klocków.

Jasne, autyzm jest fascynujący. Ale bardziej niż fascynujący jest codzienny, przyziemny, nie do zniesienia.

Wszyscy rodzice wiedzą (bo przecież doświadczają): skomplikowany zespół upośledzenia rozwoju, w którym istotną rolę odgrywa funkcjonowanie mózgu, to choroba neurologiczna, wśród typowych cech są problemy z komunikacją uczuć i związkami społecznymi, występują również kłopoty z integracją wrażeń zmysłowych (tak pisze Wikipedia).

Na co dzień jest tak, że dziecko ma tylko jeden świat: siebie. Tkwi w nim jak w szklanej kuli (tego określenia używa się najczęściej, ponieważ jest - jak mówią specjaliści - "najbardziej adekwatne"). Nie wychodzi z niego, bo na zewnątrz hałas, tłok, kaskada kolorów. To, co na zewnątrz, boli prawie że fizycznie. Dlatego autystycy tak często krzyczą, wrzeszczą, piszczą (to wtedy, kiedy próbuje się ich wyciągnąć z tej kuli). Dobrze jest w środku, bezpiecznie. Dobrze jest, jak wszystko się nie zmienia; zmiany też boją. Musi być klocek na klocek, lalka obok lalki, i to równiutko, bez fałdek.

Ludzie na zewnątrz są i robią swoje.

Autystyk ich nie widzi.

Nie ma potrzeby, albo po prostu nie umie i nie chce na nie patrzeć (komunikować się). Nie mówi, nie uśmiecha się. Zdolności społeczne? Żadnych. Więc dziecko autystyczne samo z kubka nie wypije, nawet nie poprosi o picie, nie ma pojęcia, że może poprosić. Sika w pampersy, bo jak go zapytać, czy chce się mu siku albo kupę, skoro nie rozumie sensu ani siku, ani kupy (to w głębokim autyzmie, ale są dzieci, które radzą sobie z fizjologią całkiem dobrze).

I jeszcze to uparte powtarzanie: tłuczenie zabawką przez godzinę, walenie misiem w ścianę przez dwie godziny...

Autyzmu nie rzuca się urokiem. Za autyzm odpowiada gen EN2, który usadowił się na chromosomie 7; i inne geny na chromosomach 3, 4 i 11.

Jest nieuleczalny.

O metodzie

- Kochani, musicie przewrócić dom do góry nogami. To was czeka - powiedziała jesienią tego roku Urszula Szrednicka, koordynatorka metody 3i w Polsce. Powiedziała Dominikom, bo to oni pierwsi w Polsce zdecydowali się na leczenie swojego dziecka metodą 3i.

Zaczęto ją stosować we Francji (Stowarzyszenie Autism Espoir Vers l'Ecole). Najpierw były te dwie francuskie babcie, potem 170 dzieci z Francji, Belgii i Luksemburga. Pięć lat stosowania metody i efekty: 30 dzieci poszło do szkół. Niewyobrażalne. Optymizm był wielki, bo też sukcesy nie do podważenia.

3i oznacza: intensywnie, indywidualnie, interaktywnie. Intensywność, czyli 40 godzin tygodniowo: do dziecka przychodzą wolontariusze, którzy bawią się z nim od rana do wieczora (z przerwami); w tym czasie rodzice powinni zawiesić inne metody (co najczęściej boli behawiorystów, czyli fachowców, którzy próbują metod klasycznych; mówiąc w skrócie: uczą dziecko normalnych zachowań). Intensywność przyprawia o zawrót głowy: dziecko, bo ma w pokoju dorosłego, który mu towarzyszy na każdym kroku; rodziców, bo mają dom wypełniony ludźmi przez cały dzień. Tych wolontariuszy jest 35. Każdy spędza z dzieckiem półtorej godziny raz w tygodniu, więc stąd ta liczba. Na każdy dzień tygodnia inny zestaw wolontariuszy. Nie można inaczej?

Szrednicka: - Nie można. Z obserwacji wiemy już, jak długo jest w stanie wytrzymać dorosły człowiek z autystycznym dzieckiem podczas tak intensywnej sesji. Półtorej godziny tygodniowo. On nie może się wypalić, musi mieć świeże pomysły, energię, zapał. Jak mu opadną skrzydła, to koniec. Zrezygnuje z pomocy dziecku. Ta wymiana wolontariuszy ważna jest też dla dziecka: za każdym razem dostaje od wolontariusza coś innego. Każdy z nich przychodzi z odmiennym zestawem zachowań, reakcji; każdy jest odmienną osobowością. Jeden śpiewa i dziecko powoli przyzwyczaja się do śpiewu, drugi recytuje wiersze, trzeci lubi tańczyć. Dziecko ma cały wachlarz ludzkich zachowań.

Indywidualność i interaktywność - już wiadomo.

Dziecko i wolontariusz spędzają ze sobą półtorej godziny zamknięci w pokoju (nazywa się go pokojem przebudzeń). Co tam się dzieje? Bawią się. Ale nie tak, jak wszyscy inni ludzie ze swoimi dziećmi. Autystyczne dziecko narzuca rodzaj kontaktu, o ile w ogóle można mówić o kontakcie (przynajmniej na początku). Jeżeli dziecko tłucze grzechotką, to wolontariusz robi to samo. Jeżeli dziecko uderza rączką w ścianę, wolontariusz też. Jaki w tym sens? Wolontariusz musi pokazać dziecku, że go akceptuje, te wszystkie zachowania. Wtedy dziecko zaczyna się czuć bezpiecznie, nikt go nie zmusza do nauki zwyczajnych zachowań (zwolennicy metody 3i mówią: do tresury; jej przeciwnicy: dziecko zatrzymuje się w swoim świecie, a dorosły mu na to, niestety, pozwala). Wolontariusz wchodzi w świat autystycznego dziecka, a nie wyciąga go z niego na siłę. Takie bycie z dzieckiem (a właściwie obok), taka zabawa z nim to przeprowadzanie dziecka przez te etapy rozwoju, które ominęło we wczesnym dzieciństwie. Z czasem to wolontariusz proponuje zabawę: a to potrząśnie grzechotką, a to pogłaska się po twarzy; później dziecko to podchwytuje (nic na siłę, bo to ma być tak niby przypadkiem). Dziecko rzuci jakąś sylabę, wolontariusz ją powtarza, niekiedy do znudzenia. Następnym razem on rzuci jakieś słowo, dziecko je przyjmie. I tak właśnie się uczy.

Metoda 3i nie ma jeszcze naukowych opracowań. Są tylko dobre wyniki. Sceptycy mówią: "Pokażcie nam analizy i naukowe dowody, to uznamy ją za metodę oficjalną". Opracowania powstają. Na razie do metody 3i wszyscy podchodzą jak do jeża.

Agata Dominik (jest mają siedmioletniej Kaliny, dziesięcioletniej Bogny i trzyletniego Antka, obecnie nie pracuje, czasem udzieli korepetycji; skończyła romanistykę): - Widziałam dwa filmy o metodzie 3i. Bohaterem jednego z nich był autystyczny 16-latek - nie mówił, był rośliną. Po dwóch latach terapii zaczął komunikować się ze światem, nauczył się nawet kroić chleb. Nie, oczywiście, że nie wyzdrowiał, bo autyzmu nie można do końca wyleczyć, ale z tej rośliny stał się półrośliną. Brzmi okrutnie, ale dla mnie to stwierdzenie pełne nadziei. Albo ten 29-latek... - zamknięty w psychiatryku, agresywny. Po skończeniu terapii stał się spokojny, zaczął się kontaktować. Na tym filmie widziałam, że jest szczęśliwy. Tego bym chciała do mojej Kaliny - szczęścia.

O wolontariuszach, część pierwsza

Francuzi przyjechali do Polski i opowiadali o metodzie 3i u maltańczyków. Dominikowie, oboje przecież romanisci, tłumaczyli na polski ich wykład. Nasłuchali się o sukcesach, o regresie w terapii, o pułapkach, o ciężkiej robocie. Zdecydowali się.

- To dwa lata, a może i trzy. Jak to wytrzymać? - zastanawiała się Agata.

- Mówisz o tym tłumie ludzi? - pytał Zdzisław.

- O tym też.

- Nic się nie martw. Ten nasz dom wytrzyma.

- No ale czy ja?

- Zawsze byliśmy towarzyscy, dom mieliśmy otwarty. Przecież nie boimy się ludzi.

Dom w Tyńcu zbudowali właśnie taki: otwarty. Cały parter to wielki salon. Zmieści się w nim dużo ludzi, a może i więcej.

Sami musieli poszukać wolontariuszy. Tej superTrzydziestkiąpiątki Maltańczycy podesłali na początek kilku swoich specjalistów, którzy mieli wystąpić w roli wolontariuszy). Agata dała ogłoszenie w lokalnej gazecie: "Poszukiwani wolontariusze do opieki nad niepełnosprawnym dzieckiem". Poszła do sąsiadów. Zdzisław i Urszula Srzednicka odwiedzili Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie i Uniwersytet Trzeciego Wieku - udało się znaleźć wrażliwych studentów i miłe emerytki. Wszyscy przeszli solidne i bardzo intensywne szkolenie u maltańczyków. Potem Dominikowie zaprosili ich do siebie, wcześniej pożyczili krzesła z domu kultury...

Do domu Dominików w Tyńcu jedzie się autobusem linii 112. Wolontariusze dosiadali się na kolejnych przystankach, "sto dwunastka" zbierała ich po mieście (od ronda Grunwaldzkiego).

Agata: - A później kierowca autobusu opowiadał, że nigdy jeszcze nie wiozł na samą pętlę tyłu ludzi. W dodatku wszyscy oni poszli w tym samym kierunku.

Pielgrzymka ruszyła do Kaliny.

O pokoju

W metodzie 3i ważny jest pokój, w którym dziecko spędza czas z wolontariuszem - w miarę na uboczu, żeby nie docierały do niego dźwięki. Dziecko nie może go opuszczać między jedną a drugą sesją (czyli między jednym a drugim wolontariuszem). Inaczej się zdekoncentruje i będzie po sesji.

Pokój Kaliny jest wyspą - taki osobny, z surowym klimatem. Nie ma w nim dywanu, tylko maty do zabawy. Nie ma łóżka ani krzesła. Wisi huśtawka, na podłodze piłka. Na ścianach dwie półki z zabawkami. W pokojach rodzeństwa Kaliny echa nie ma, bo powietrze wypełnione przeróżnościami; a u Kaliny echo takie jak w górach.

O pierwszej sesji

Pierwsza sesja: Agata stoi pod drzwiami i czeka, nasłuchuje.

Wchodzi, jak tylko Kalina zacznie płakać albo wrzeszczeć.

Nie może się opanować.

Wpuściła przecież do domu obcych ludzi.

Obcym ludziom oddała pod opiekę dziecko.

Chodzą jej po głowie myśli: "A jak pedofil, to co?".

Wchodzi i sprawdza, wychodzi.

Kalina znów wrzeszczy przez dwadzieścia minut.

Agata gryzie balustradę schodów.

(Jakiś czas później Agata zdecydowała: sesje będą nagrywane kamerą. Powiedziała o tym każdemu wolontariuszowi. Nikt się nie oburzył. Wiadomo: matka się boi, matka cierpi. Niektórzy tłumaczyli, że wstydzą się przed kamerą, że od tego obserwowania ich ręce im się trzęsą i nie mogą się skupić na Kalinie. Agata nie nalegała. Po każdej sesji przeglądała nagranie, potem dawała wolontariuszom).

Agata: - To ich własność. Ten materiał może być dla nich cenny, mogą zauważyć coś ważnego, co teraz ominęli, a wykorzystają przy następnej sesji.

Pierwsza sesja była jak czekanie pod blokiem operacyjnym - czy wszystko dobrze?, kiedy oddadzą mi dziecko?, jak się czuje?

Następne też podsłuchiwała, ale z dołu (pokój Kaliny jest na piętrze, a Agata czeka na córkę w salonie na parterze). Z piętra leciały dźwięki: grały cymbałki, śpiewały się piosenki, recytowały wierszyki; czasem wylatywały długie "aaaaaa...", długie "buuuuuu". Poza tym wrzaski, piski - cały ten autystyczny standard.

O korepetycjach z kontaktu

Dzień po dniu, tydzień po tygodniu.

Dominikowie wpadli w rytm.

Od wolontariusza do wolontariusza.

Co drzwi zamknęły się za jednym, to już otwierały przed drugim. Albo było też tak, że jeden jeszcze siedział z Kaliną, a drugi już czekał w połowie schodów.

Agata: - Zrobiliśmy grafik, żeby się w tym wszystkim nie pogubić. To najważniejszy dokument w domu. Każdy dzień jest rozpisany, podzielony na kratki. W kratki wpisujemy imiona wolontariuszy. Mamy też grafik innych domowych zajęć. Trzeba przecież odwieźć Bognę do szkoły i Antka do przedszkola, a potem przywieźć. Jeszcze gdzieś, między tych wolontariuszy, wcisnąć basen, zajęcia dodatkowe. Obiad, sprzątanie...

To dopiero początek. Terapia metodą 3i może trwać dwa, trzy lata.

Zdzisław (wiceprezes w firmie konsultingowej, romanista): - Planujemy wakacje, musimy normalnie żyć. Terapia wiele zmieniła i pewnie zmieni jeszcze więcej, ale to nie oznacza, że zrezygnujemy ze wszystkiego. Mamy jeszcze dwójkę cudownych dzieci, im też należy się nasza miłość i nasze zainteresowanie. Wakacje będą wyglądać tak, że któreś z nas pojedzie z tą dwójką, a któreś zostanie z Kaliną. Terapii nie można przecież przerywać. Jak intensywność, to intensywność. Kiedy dziecko ma kłopoty z matematyką, to rodzic załatwia

mu intensywne korepetycje z matematyki; jak ma kłopoty z kontaktem, to intensywne korepetycje z kontaktu. U nas nie ma, że się nie da. Od dramatyzowania świat nie stał się jeszcze nigdy lepszy.

Dramatyzowania Kalina i tak by nie zauważyła.

O zmianach

To dopiero piąty tydzień, a Agata szaleje z radości: Kalina się do niej uśmiechnęła. Po którejś sesji dziewczynka, przechodząc obok mamy, otarła się o nią. Agata jest pewna, że świadomie. Niby wciąż jest dla niej powietrzem, ale takim, o które można się otrzeć. Powtarza słowa z piosenek śpiewanych przez wolontariuszy - jeszcze niewyraźnie, wciąż nie na zawołanie. Nuci sobie i można poznać, jaka to melodia. Spróbowała zagrać na cymbałkach - wyszło jej niepasujące do siebie "plum, plum", ale wie, że cymbałki to dźwięki. Zасыpia spokojniej.

Agata: - Kiedy brałam ją na ręce, była sztywna, napięta. Ostatnio przyszła do mojego łóżka i przytuliła się! Taka miękka i odprężona.

Cuda.

Ale wszystko może nagle się zatrzymać.

Dominikowie są przygotowani: będą miesiące bez cudów.

O twarzy

Zmiana najważniejsza: Kalina dotyka twarzy innych ludzi.

Dotyk jest albo intensywny - dziewczynka ścisza policzki, albo delikatny - muśnięcie takie.

Ośmiomiesięczne dzieci tak robią. Poznały swoje buzie, później uczą się twarzy rodziców.

Wędruje palcami po twarzy, poznaje nos, usta, oczy. Trudno powiedzieć, czy dziwią ją włosy - w każdym razie bada włosy.

Że Kalina dotyka twarzy ludzi, to mistrzostwo świata.

O wolontariuszach, część druga

- To takie straszne, to taka odpowiedzialność opiekować się Kalinką - żaliła się Agacie pani Marysia, wolontariuszka (sąsiadka).

- Niech się pani tylko z nią bawi - tłumaczyła Agata.

- Ale jak? Ale w co?

- Przecież ma pani wnuki.

SuperTrzydziestkapiątka staje na rzesach: Kalina musi mieć wyniki. Może są zbyt ambitni? Raczej przejęci. Stres jak jasna cholera - wystarczy jeden gest i po sprawie. Kalina się

wycofa. Na początku podpytywali Agatę: co robić wtedy, jak zachować się wtedy. Teraz już nie muszą. Są specjalistami od Kaliny, każdy mistrzem własnego kontaktu z dziewczynką.

Ola (wolontariuszka, studentka Uniwersytetu Pedagogicznego, pedagogika specjalna): - Dla Kaliny to zabawa, dla mnie ciężka praca. Ale radość jest, kiedy ona się ze mną skontaktuje. Już w pierwszym dniu popatrzyła na mnie! Takich rzeczy się nie zapomina; te nagrody od Kaliny są najcenniejsze na świecie.

Agata: - Tak mi żal tych naszych Kalinkowych ludzi, kiedy ona zasypia im podczas sesji... Schodzą na dół i mówią: "Ojej, porażka, sesja zmarnowana, Kalina usnęła".

Dominikowie znają już wszystkich. Twarze szybko dopasowały się do nazwisk, potem do dni tygodnia i konkretnych godzin w tych dniach.

Po pięciu tygodniach jest już tak, że każdy sam robi sobie herbatę (albo kawę). Ludzie wiedzą, gdzie soczek do tej herbaty, gdzie cytrynka, miódzik. Owszem, Agata zapyta o herbatę (albo kawę) Karen - wolontariuszkę i zawodowego logopedę, bo Karen przyjechała z Brazylii i nie rozumie jeszcze dobrze polskiego ani polskich zwyczajów ("W Polsce pije się herbatę z cytryną?!").

Raz na jakiś czas Agata przemyje podłogę mopem, ponieważ ludzie nanoszą śniegu i zostają kałuże.

Nie robi tego za każdym razem. Woli słuchać, jak na górze Kalina się kontaktuje.

O raportach

Z raportów pisanych po każdej sesji przez wolontariuszy (trafiają do koordynatorki metody 3i):

"Spoglądała na swoje nóżki, chętnie ćwiczyła, zabawa trwała krótko, bo Kalinka zasnęła". (Irena)

„Kalinka chętnie powtarza fragmenty » sylabowanych» piosenek. Mam wrażenie, że prowokuje mnie do aktywności”. (Maria)

"Początkowo niewielkie zainteresowanie, lekkie znużenie, zdenerwowanie, próbowała wyjść. Później usiadła przed lustrem i złapałyśmy dobry kontakt (...). Przy śpiewaniu piosenek przytulała się do mnie i patrzyła w oczy". (Justyna)

"Częsty kontakt wzrokowy. Przy gimnastyce śmieje się, ustępuje sztywność kolan. Słucha z uwagą piosenek. Przygląda się swoim ruchom przed lustrem. Jest wesoła". (Marianna)

"Kilkakrotnie chwyciła mnie za rękę". (Basia)

"Sesja super udana". (Ania)

„All the time looked at me, » understood” when she had to do action, imited a lot my face and

had fun when I did the same". (Karen; jej angielski jest zdecydowanie lepszy niż polski, więc tak się kontaktuje z Dominikami)

O świętach

Dominikowie nie mają sumienia powiedzieć Kalinkowym ludziom, żeby przyszli na sesje w Wigilię. A przecież metoda 3i to intensywność, czyli soboty, niedziele, i Wigilia, i święta.

Jak ktoś jednak przyjdzie, to po skończonej sesji Agata zaprosi go do stołu. Przyniesie talerz, sztucę, szklanę.

Jak przyjdą wszyscy, to Dominikowie kolację wigilijną będą jedli do rana do wieczora.

To będzie najdłuższa wigilia świata.

Źródło: Gazeta Wyborcza Kraków